

Uniwersytet Warszawski Dzielnica Wydziału Filologicznego (6)		
Wojnyło do WF	19-01-2022	Dotyczy
Wpl. do jedn. org.	Dotyczy	Dotyczy
Znak instytucyjny		

Warszawa, 1 stycznia 2022

**Recenzja rozprawy doktorskiej mgra Kamila Nolberta p.t. „Z doskoku i z ukosa”. O języku w poezji i krytyce Piotra Sommera**

Zgodnie z podtytułem, rozprawa Kamila Nolberta poświęcona jest kwestii języka w krytycznym i poetyckim pisarstwie Piotra Sommera. Wszelako już w przedmowie Autor tłumaczy, że ze względu na specyfikę twórczości, która zajmuje go w tej rozprawie, ów językowy punkt wyjścia właściwie natychmiast każe otworzyć analizę na inne przestrzenie dociekań, w których zasadniczą rolę odgrywają takie kategorie jak doświadczenie, egzystencja i etyczność. Ten splot problematyki językowej, egzystencjalnej i etycznej, który Nolbert rozpoznaje u Sommera, będzie charakterystyczny dla wszystkich trzech obszernych rozdziałów, które składają się na recenzowaną rozprawę.

Rozdział pierwszy poświęcony jest „językowi krytyki”. Niemniej pierwszą, długą częścią tego rozdziału wypełniają metodologiczne rozważania nad tym, jak w ogóle należy traktować współobecność utworów poetyckich i tekstów krytycznoliterackich w dorobku jednego autora. Przywołując zakorzenioną w tradycji romantyzmu jenajskiego ideę radykalnego zbliżenia krytyki literackiej i poezji, bardziej konserwatywną perspektywę umniejszającą znaczenie krytyki uprawianej przez poetów, dekonstrukcjonistyczną myśl o literaturze jako przedsięwzięciu, które w autokrytycznym geście nieustannie samo się kwestionuje i przekracza swoje granice, wreszcie rozważając kwestię podmiotowości, która mogłaby stać za dwoistym, krytyczno-poetyckim przedsięwzięciem, Nolbert ostatecznie przekonuje, że (1) krytyka i poezja to przedsięwzięcia w przypadku Sommera nierozłączne, choć oczywiście (2) nietożsame, lecz pozostające w nieustannym rezonansie jako dwa aspekty autorefleksyjnej, samokwestionującej się, wciąż przekraczającej instytucjonalne granice działalności niesubstancjalnego, wciąż migrującego podmiotu, (3) działalności, w której migotliwym centrum usytuowana jest refleksja nad językiem, wyznaczającą zygzakowaną linię styku między poezją a krytyką literacką Piotra Sommera.

Jak pokazuje Nolbert, jeśli nie liczyć dwóch esejów z ostatnich lat, w krytycznoliterackim dorobku Sommera brak właściwie tekstów programowych czy manifestowych – Sommer porusza się mimochodem – jego działalność krytyczna zawsze pozostaje zanurzona w analizie detalu. To aktywność ruchliwa, ostentacyjnie nieakademicka, unikająca definicji pojęć, retorycznie arcywyrafinowana i przesycona emocją. W tej sytuacji Nolbert proponuje, by śledząc konkretne odczytania Sommera, a także – mimo wszystko – jego rozszniewane po tekstach i wywiadach wypowiedzi o charakterze quasi-programowym, zidentyfikować i zrekonstruować główne kategorie Sommerowej krytyki literackiej, a dokładniej – tych aspektów Sommerowego myślenia o języku, które w owej działalności krytycznej najdobitniej dochodzą do głosu. Idąc tym tropem, Nolbert rozważa zatem Sommerowską ideę języka jako żywego organizmu i powiązaną z nią niechęć wobec dominacyjnych zapędów autorskiego podmiotu, których ignorując siły języka chciałby forsować swój „przekaz” i – zasiadłszy na stolcu dydaktyka – pragnąłby w najlepsze pouczać czytelnika. Sympatię Sommera budzi raczej poluzowanie władzy autorskiego podmiotu, wynikające z poczucia, że uwolnione powinny zostać moce języka pojętego właśnie jako coś żywego. Według Nolberta, nie oznacza to jednak, że Sommer opowiada się za całkowitą abdykacją podmiotu i za swobodnym językowym dryfem: idzie tu raczej o nieustanną interakcję między podmiotem a językiem, interakcję przesyconą miłością, zaciekawieniem i zgrozą.

Ta ogólna myśl przyświeca, wedle Nolberta, krytycznym analizom i poszukiwaniom Sommera, który ganić będzie poetyckich pouczycieli i dominatorów, a douczać się będzie u tych, co potrafią wchodzić z językiem w rezonans, uruchamiać grę żywego języka i w ową grę wciągać swoich czytelników, traktowanych jak partnerzy przewrotnej, zaskakującej rozmowy, a nie jak uczniaki na poetyckim kazaniu. Nie godząc się na zglajchsztowanie mowy, Sommer cenić będzie – tłumaczy Nolbert – językowe nieposłuszeństwo, dynamiczność, zmienność, ruchliwość, wielorejestrowość, heterogeniczność języka poetyckiego, zdolność do wytrącania czytelnika z językowych przyzwyczajzeń, umiejętną grę powrotów, które nie są tępych powtórzeniami, lecz wydobywają grę różnicy i pojedynczości uwikłanej w czasoprzestrzenny konkret codziennego życia. Nolbert zwraca też uwagę, jak często i chętnie w swoich tekstach krytycznych skupia się Sommer na muzyczności mowy, na tonie i intonacji, jak wysoko ceni sobie kategorię językowego

sluchu. Jak podkreśla Nolbert, nie idzie tu wcale o ucieczkę od strefy znaczeń w stronę czystych brzmień, lecz o wyczulenie na sensotwórcze konsekwencje umuzyycznienia języka w wierszu czy też o krytyczny nasłuch nad znaczeniami, które nawet wbrew autorowi czytanego tekstu, rodzą się z samego tonu jego zdań i składni. W tym kontekście, zauważa Nolbert, Sommer chętnie mówi też o rytmie, ale – znowuż – ceni zwłaszcza rytm nieoczywisty, zakłócony, umykający oczywistościom powtórek, rytm, w którym manifestuje się pojedynczość poetyckiego głosu. Wedle Nolberta, Sommera zajmuje zawsze owa pojedynczość, nie znikająca za ogólnym gestem poetyckiego pouczenia, co Nolbert pokazuje na koniec tego rozdziału analizując Sommerowe rozważania nad poetycką parabolą, odsłaniające jego upodobanie do przypowieści podciętej, do uniwersalności zawiniętej wokół tego, co pojedyncze, i z pojedynczości na nowo się wyłaniającej. Gwarantem tej pojedynczości jest u Sommera głos, który siłą rzeczy staje się w ujęciu Nolbert jedną z zasadniczych kategorii Sommerowego myślenia o języku, przy czym jest to głos zawsze uwikłany w pisanie i przez pisanie zapośredniczony.

W rozdziale drugim, poświęconym językowi i refleksji nad językiem w poezji Sommera, po wstępnych rozważaniach przywołujących ponownie kwestię współoddziaływania czy powtórzeniowo-różnicującego rezonansu między poezją a krytyką Sommera, Nolbert podejmuje najpierw próbę nakreślenia „genealogii” Sommerowego języka poetyckiego i jego myślenia o tymże, próbę usytuowania go w tradycjach polskiego i niepolskiego pisania. Tak więc, nieuchronnie, podkreśla się tu demotyczność i konwersacyjność tego języka, bliskość rzeczom i szczegółom codzienności. Podkreśla się niechęć do politycznych zaangażowań niezapośredniczonych przez prywatność i konsekwentne skupienie na kręgu rodziny, przyjaciół i znajomych. Jeśli chodzi o genealogie i usytuowania w pisarskich lineażach, Nolbert wskazuje zatem odrębność Sommera od poetów Nowej Fali, jego upodobanie do poezji Wata i Ficowskiego, jego zadłużenie u Różewicza i Białoszewskiego, jego przekładowe spotkania z nowojorczykami, Reznikoffem i Williamsem. Zarazem, podkreślając detaliczność, dorzeczną i przykonkretność tej poezji, Nolbert nieustannie przypomina też o konstrukcyjnym charakterze jej języka, o tym, że doświadczenie rzeczywistości idzie tu zawsze poprzez doświadczenie mowy, że komplikacje świata próbuje się tu przychwycić za pomocą nieustannej gry składnią. Mając w pamięci niechętnie uwagi Sommera pod adresem nawrotu mody na

słowo „awangarda”, Nolbert mimo wszystko wskazuje zakorzenienie poety w awangardowej tradycji czy też, słowami samego Sommera, w tradycji eksperymentu.

Ostatecznie więc są wiersze Sommera całe „ze słów” i całe sprawami języka pochłonięte, a zarazem i równocześnie nie tyle może „o” rzeczach i ludziach, ile „przy” nich. Stąd też jednak, jak wskazuje Nolbert, nawet te jego utwory, które zdają się opowiadać jakąś historię, jakiś epizod codziennego życia – zdają się i faktycznie to robią – zarazem prowadzą również nieustanną autorefleksję, stale medytują nad pracą języka. Dlatego też w kolejnych częściach tego rozdziału Nolbert analizuje szereg utworów zdawałoby się całkiem nie-manifestowych, wydobywając z nich elementy refleksji nad językiem i nad samą sytuacją mówienia – oraz zasadnicze momenty Sommerowej pracy z językiem. Mówi się tu zatem o nieustannej zmyłce, zawieszeniu, retardacji i podcięciu puenty jako technikach konstrukcji śladowego, unikowego podmiotu mowy, niewyposażonego w żadną substancjalność czy metafizyczną sankcję, o dyskrecji i niedomówieniu jako nieodzownych cechach wiarygodnego języka. W dalszym kroku rozważa Nolbert te utwory Sommera, które mają charakter para-programowy, śledząc „dyskretną rozwiąłość” Sommerowej mowy, jego „poetykę negatywną”, pochwałą powściągliwości i dorzecznosci, nieustanne przenikanie się mowy i pisma w jego utworach.

W ostatnim rozdziale rozprawy Nolbert podejmuje ostateczną próbę udzielenia odpowiedzi na zasadnicze pytanie, w jaki sposób i w jakim sensie język Sommera jest językiem sobą-zajętym, a zarazem dorzecznym i skupionym na konkretności i prywatności, w jakim sensie jest to poezja obiektywistyczna i lingwistyczna zarazem. W tym celu Nolbert rozważa usytuowanie Sommera względem dwóch fal koncentracji na prywatności w polskiej poezji, by ostatecznie pokazać, że językowo-egzystencjalne zawężenie jego pisania najlepiej jest pojmować w kontekście kategorii przyjaźni i idei gościnności. Oto nieustannie osłabiający swoją substancjalność podmiot raz po raz otwiera się tutaj na kontakt z drugim człowiekiem, nieustannie rozważając warunki niezafalszowanej komunikacji, która nie zakrywałaby inności innego, nie odbierałaby mu głosu mową ideologiczną lub pouczycielską. Jak pokazuje Nolbert, to autorefleksyjne samokwestionowanie obejmuje skomplikowaną refleksję nad różnymi aspektami doświadczenia, takimi jak wymiar wizualny i akustyczny, zakłócenia czasu i przestrzeni, wreszcie nad

śmiercią. „Najczulszym miejscem” w twórczości Sommera, w którym momenty językowe, egzystencjalne i etyczne łączą się ze sobą jak najściślej, okazuje się więc w ujęciu Nolberta otwarcie na innego, na przyjaźnie zawsze dopiero nadchodzące. Te konkluzje zostają wreszcie zebrane w krótkim zakończeniu tekstu, gdzie medytując nad jednym wierszem Sommera, Nolbert w piękny, po sommerowemu dyskretny sposób daje też wyraz własnym upodobaniom, które skłoniły go do pisanía.

Rozprawa Kamila Nolberta to rzecz pod wieloma względami arcyimponująca, choć zarazem niewolna od niedociągnięć. Zalety tego tekstu ważą wielokrotnie więcej niż jego wady, po to jednak, byśmy mieli o czym rozmawiać, oraz po to, by niniejsze uwagi mogły się na coś przydać, pozwolę sobie o tych przemożnych zaletach powiedzieć krótko, a o niedoskonałościach – nieco dłużej. Na początek warto zwrócić uwagę, że jest to tekst utrzymany w rozumnych rozmiarach, ani za krótki, ani za długi, a przede wszystkim: napisany świetną prozą, językiem akademickim, ale nienudnym, żyłastym i żywym, i że – jeśli nie liczyć drobiazgów – rozprawa zredagowana jest bardzo pieczołowicie. Dalej, bardzo fortunny wydaje się pomysł, by wziąć na warsztat nie tylko poezję Sommera, lecz także jego teksty krytycznoliterackie, jako że wiele z tych zagrzebanych w detalu, pozorujących czasem felietonową przygodność esejów należy do najistotniejszych i najwspaniałej napisanych rzeczy na temat poezji i języka, jakie w ogóle mamy w polszczyźnie, a fakt ten pojmowany jest chyba nie dość często. Nolbert rozumie siłę tych tekstów i przewrotnych technik interpretacyjnych Sommera – argumentuje się tu chętniej przykładem i zestawieniem niż tezą i dowodem – nawet jeśli i jego zniecierpliwi czasem pojęciowa ruchliwość Sommerowego dyskursu. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że Autor rozprawy porusza się w twórczości Sommera arcyśprawnie, że po prostu zna na wylot jego poetycki i krytycznoliteracki dorobek. Znakomicie panuje też Nolbert nad literaturą przedmiotu, którą przywołuje często, nigdy wszakże nie tracąc przy tym własnego głosu: sprawnie posługuje się interpretacyjnymi konceptami innych, z którymi mu po drodze, z elegancją i argumentacyjną swadą oddalając koncepty mniej udane lub całkiem chybione. Imponuje też swoboda i suwerenność, z jaką Nolbert sytuuje poezję Sommera wobec kolejnych fal i formacji w poezji polskiej, a także wobec poszczególnych wierszy innych poetów, imponuje jego wycucie kontekstów społeczno-politycznych, w których powstawała ta poezja. Najzupełniej trafny wydaje się wybór głównego filozoficznego sojusznika – czyli

dekonstrukcji Jacquesa Derridy – którego Autor rozprawy raz po raz przywołuje na pomoc. Spore wrażenie robią odczytania poszczególnych tekstów krytycznych i konkretnych wierszy – wymieniałbym tutaj przede wszystkim analizę Sommerowych rozważań nad parabolą i wierszy dotyczących problematyki czasowości i śmierci bliskich. Trafnie nazwana zostaje wyjątkowość i osobność Sommerowskiej praktyki lingwistyczno-egzystencjalnej, a odniesienie jej do problematyki gościnności i przyjaźni w ujęciu dekonstrukcjonistycznym pozwala spojrzeć na zagadkę tego splotu i w ogóle na całą tę twórczość w nowy, świeży sposób. Jak dowodnie wykazuje Nolbert, ta wyjątkowość i osobność, nie wytracając nic ze swojej poboczności, którą tak konsekwentnie pielęgnuje Sommer, stała się tymczasem kanoniczna i centralna: w odczytaniach Nolberta głos Sommera brzmi, jak trzeba, dźwięcznie acz niedobitnie, tymczasem głosy, z którymi Sommer wojował, brzmią dzisiaj pusto i nijako. W tym też sensie dysertacja Nolberta nie jest przyczynkarską rozprawą o jeszcze jednym twórcy, lecz raczej niezwykle istotną wypowiedzią na temat przemian w polskiej poezji współczesnej, a zarazem mądrym, filozoficznym traktatem o języku, egzystencji i etyce.

Czas na narzekanie. Wśród słabości tekstu wymieniałbym przede wszystkim niejaką meandryczność, a zarazem repetytywność wywodu, dwie cechy, które powodują, że czytelnik nie zawsze wie dokładnie, w którym punkcie rozumowania się znajduje i dlaczego czyta o czymś, o czym – jak sądził – to i owo już słyszał. Kreśląc powyższą rekonstrukcję rozprawy piszący te słowa sam musiał czasem na własną rękę pewne momenty wywodu uspójniać, porządkować i dojaśniać, a te czy inne rozwiązania dopowiadać: było warto, ale szkoda, że Autor nie zawsze spieszy z pomocą zagubionemu czytelnikowi. Przejścia od rozważań nad relacjami między poezją a krytyką do refleksji nad podmiotowością czy też od rozważań nad prywatnością do medytacji nad czasem bywają tu nie całkiem jasne, z kolei niektóre myśli nawracają raz po raz, jakby bezskutecznie próbowały się skryzalizować w mocniejsze tezy. Przy ostatecznej redakcji tekstu warto chyba rzecz solidniej uporządkować, za każdym razem zadając sobie pytanie, czy to lub inne przejście w wywodzie samo się tłumaczy czy też trzeba je dojaśnić, czy tej lub tamtej myśli nie warto by sformułować dokładniej – raz a dobrze.

Dalej, jest tu trochę zabawnych przejęzyczeń. I tak, gdy mowa o epoce po roku 1989, zdarza się raz Nolbertowi określić ją mianem „powojennej” (s. 33); w zdaniu „Po pierwsze, podstawą oceny słuchu językowego jest zgodność z normą oraz realizacja konwencjonalnych wzorców” najwyraźniej zgubiło się słówko „nie” (s. 55); gdy mowa o tym, że w swoich tekstach krytycznych Sommer „wchodzi w rolę dyletanta, który o warsztacie poetyckim czy translatorskim wie tyle tylko, ile wypada wiedzieć »osobie nieuniwersyteckiej«”, to jasne jest, że chodzi nie tyle o „warsztat”, ile o „teorie warsztatu” (s. 59); Władysław Chodasiewicz stał się raz „Chodkiewiczem” (s. 80), a o znaku zapytania mówi się raz jako o znaku „diakrytycznym” (s. 174). Poza dwiema-trzema literówkami to chyba tyle technikaliów.

Jest trochę nieporozumień. Zaliczyłbym do nich fragment, w którym starając się nieco załagodzić spór między Sommerem a Miłoszem, Nolbert przytacza zdanie tego ostatniego, wysoce paradne w swojej wielkopańskiej hojności a komunałowej pustocie: „Tłumaczenie jest zajęciem jak najbardziej humanistycznym, jako że dotyczy języka, zakłada też [też! – A.L.] ciągłe obcowanie ze słowami i gramatyką”. Wykazując się dość zaskakującym brakiem słuchu Autor rozprawy stwierdza, że Sommer mógłby przyznać Miłoszowi rację (s. 72). Do nieporozumień zaliczyłbym też dziwny pomysł, by błyskotliwą miniaturę zatytułowaną *Pajęczyna*, którą czytać można jako głęboką medytację nad czasem, przestrzenią, jednorazowością i powtórzeniem, grę z przestrzenią tekstu i przestrzenią przeżywaną, odczytywać jako zwykłą humoreskę (s. 138). W tej grupie widziałbym też fragment, w którym Nolbert krytycznie odnosi się do słów Sommera, wedle którego Marca'68 nie można traktować jako wydarzenia językowego (s. 168). To chyba rzeczywiście tylko nieporozumienie: trudno raczej uznać, iż Sommer nie zgodziłby się, że Marzec odbywał się także w języku, a z kontekstu jego wypowiedzi wynika po prostu, że poeta przeciwstawia się w niej prostackiemu pantekstualizmowi, co to wydarzenia historyczne, podczas których dostawało się w zęby i traciło obywatelstwo, kazałby traktować *wyłącznie* jako wydarzenia w języku. Wreszcie, za nieporozumienie uznałbym uporczywie nawracające odniesienia do filozofii Martina Heideggera. Intelktualna, językowa i tonacyjna inkongruencja światów Sommera i Heideggera wydaje mi się równie ewidentna, co ornamentacyjny charakter tych odniesień. Nawet po derridiańsku pod-dekonstruowany Heidegger to niezbyt poręczne narzędzie do

czytania Sommera. Nie chodzi wyłącznie o kwestię gustu czy smaku: o tym, że rekonstruując myślenie Sommera o języku – relacyjne, wychylone ku innemu, ironizujące podmiotowość mówiącego, lecz bynajmniej jej nieanulujące, ba, wzmagające ją w jej niemetafizycznej uskokowości i śladowości nieuchwytnego głosu – nie warto raczej sięgać po dęte teorematy Heideggera (i sceptyczne figury dekonstrukcji Paula de Mana), topiące podmiot w języku, świadczy w znacznym stopniu nieudana lektura *Piosenki pasterskiej*, którą proponuje Nolbert, a wedle której – jeśli dobrze rozumiem – w tym wierszu podmiot oddaje się we władanie języka. Chyba mieliśmy inne wydania. Czyśmy już zapomnieli, że jesteśmy w ironiach i międzysensach? Czyśmy zapomnieli, że ten osobliwy pastuszek, co to prawie-prawie istnieje, uporczywie a po swojemu śpiewa własną melodię w naszym języku – właśnie dlatego, że taki on pomiędzy?

Skoro już o filozofii i teoretycznych conceptach mowa. Podczas lektury utworów i tekstów krytycznych Sommera zdarza się Nolbertowi przywoływać na pomoc dualistyczne kategoryzacje, które wydają się czasem nie dość subtelne, a czasem – przy bliższym wejrzeniu – po prostu niezbyt trafne. Umiarkowanie udany wydaje się pomysł, by Sommera przedstawić jako wroga logocentryzmu, a Miłosza – jako tegoż logocentryzmu zwolennika (s. 63). Może i prawda, ale czy to nie za grube cięcia? Niezbyt trafna natomiast wydaje się myśl, by Sommera, przeciwnika esencjalizmu, rozpoznać jako pragmatystę (s. 72-73, s. 76-77): spłaszczona filozofia języka i umysłu stawiająca wyłącznie na użyteczność i skuteczność działania ma się nijak do Sommerowskiej, wyrafinowanej koncepcji mowy stykającej się ze światem w swoich ugięciach i uskokach czy też do jego naznaczonej unikami, wahaniem i medytacyjnym spowolnieniem koncepcji podmiotowości – łączy je chyba rzeczywiście tylko antyesencjalizm.

Ze sprawą nazbyt grubych czy nazbyt grubo stosowanych kategorii wiążą się jeszcze dwie kwestie, w pewnym sensie kluczowe dla całej rozprawy. Idzie tu raczej o niedogadanie, niedociśnięcie czy niedoprecyzowanie rozwiązań całkiem trafnych, a nie o rozwiązania chybione. Po pierwsze zatem, wskazałbym sposób, w jaki Nolbert podchodzi do kwestii głosu. Nazbyt kurczowo trzymając się wczesno-derridiańskiego zrównania logocentryzmu (skądinąd: czy naprawdę warto mówić o „epoce logocentryzmu” [s. 126]? kiedy to było i kiedy się skończyło?!), fonocentryzmu i



niesławnej metafizyki obecności – zrównania kilkakrotnie przywoływanego tu *explicite* – Nolbert, który przecież całkiem słusznie przyjął Derridę za głównego filozoficznego patrona swojej lektury, raz po raz staje w obliczu pytania, jak powinno się pomyśleć Sommerowe przywiązanie do kategorii głosu i, w ogóle, wokalnosc jego twórczości. Rozwiązanie, za którym ostatecznie opowiada się chyba Autor rozprawy, jest rozumne i przekonujące: Sommerowski głos trzeba rozumieć nie tyle jako gwarancję samoobecności, ile – wręcz przeciwnie – jako sposób wibracyjnej, śladowej obecności niesubstancjalnego, zironizowanego podmiotu języka. Co więcej, jak widzieliśmy, taki głos zawsze zapośredniczony jest przez pismo: Sommer konstruuje głos w piśmie, by móc studiować jego działanie i warunki etyczno-estetycznej wiarygodności. Ale to rozwiązanie raz to wyłania się, raz znika, a nawracająca mantra o fonocentryzmie-jako-logocentryzmie nie ułatwia czytelnikowi orientacji w tej kwestii. Być może inne koncepcje głosu – jak choćby ta proponowana przez Mladena Dolara w książce *Voice and Nothing More*, czy ta proponowana przez Adrianę Cavarero w książce *For More Than One Voice* – które nie anulując przecież antylogocentrycznego zwrotu Derridy proponują filozofię głosu jako figury pojedynczości, mogłoby tu coś dopomóc? Mógłby tu zresztą wystarczyć sposób, w jaki do kategorii głosu w swojej późniejszej myśli podchodzi sam Jacques Derrida. Tak czy owak, przydałoby się to jeszcze raz przemyśleć i uporządkować.

Po drugie, w podobny sposób raz po raz pojawia się tutaj i znika odpowiedź na pytanie, jak dokładnie ma się Sommerowskie przeobrażenie podmiotu z substancjalnego jestestwa w ów zironizowany, wokalny ślad do postulowanej przez Nolberta poetyki przyjaźni i gościnności, owego otwarcia na inność, które miałyby być zasadniczym rysem Sommerowego myślenia o języku i komunikacji. I znów, rozwiązanie, ku któremu ciąży Nolbert i które starałem się rekonstruować powyżej, jest najzupełniej czujne i czyste: jak widzieliśmy, związek byłby tu całkiem bezpośredni, ponieważ nierozdęte a podcięte Ja to zarazem właśnie Ja w rozmowie z innymi, Ja wciąż i wciąż przebijające się do Innego. Przydałoby się jednak, żeby rzecz została opisana dokładniej, wyraziściej i solidniej. Co gorsza, czy to heideggerowskie, czy to demanowskie, czy wreszcie wczesno-derridiańskie antyhumanizmy raz po raz spychają Nolberta z owej drogi, na której już-zaraz dotarłby przecież do pełnej koncepcji podmiotu akustycznego uwikłanego w jednostkowe, zasadnicze dlań relacje z innymi, podmiotu może nawet nie tyle

prywatnego, ile pojedynczego, swoją przewrotną pojedynczością odmawiającego nawet przystania na ugłaskującą prywatyzację, podmiotu dyskretnego, lecz czupurnego, czupurnie dbającego o dyskretność i sekretność, zawsze w kontrze do wielkiej urawniłowki, nigdy w kontrze do innych pojedynczości. Tekst Nolberta prawie tam dociera – czasem tam dociera, często tam dociera – ale chciałoby się, żeby docierał tak całkiem i na dobre, bez zawirowań, regresów i niejasności, z którymi czytelnik musi radzić sobie na własną rękę, ten jeden raz już nie tylko z doskoku i z ukosa. Byłoby nienajgorzej, gdyby przygotowując ten tekst do druku, Autor także i tę sprawę wyartykułował całkiem już precyzyjnie. Powiedzmy zatem, że jesteśmy umówieni.

No i wreszcie czas na performatyw. Mając na względzie wszystkie olbrzymie zalety tej wspaniałej rozprawy, a jej wady uznając za drugorzędne i ostatecznie łatwo naprawialne, **z pełnym przekonaniem i wielkim entuzjazmem wnoszę o dopuszczenie mgra Kamila Nolberta do dalszych etapów przewodu doktorskiego.**



dr hab. Adam Lipszyc, prof. IFiS PAN  
Instytut Filozofii i Socjologii PAN